№ 19. Warszawa, 8 (20) Czerwca 1898 r. Rok XLVII.

KORESPONDENT
ROLNICZY, HANDLOWY i PRZEMYSŁOWY.

Wychodzi jako pismo dodatkowe bezpłatne przy „Gazecie Warszawskiej.“

Raptularz myśliwski.

Wstępnych słów kilkoro.—Daję szarakowi dyplom lekarski.—Mistrz z Kiernozi i stara Magda.—Skuteczność *sympatyki.*—Rozkosze rodzinne lisów.—Najzawziętszy wróg zwierzyny i ptaków pożytecznych.—Hajże na lisy!—Mól Australijczyków.—Klęska królicza.—Napad gryzoniów na miasto.—Płoty kosztowne.—Zatruwanie wody.—Bakteryologia pomoże.—Bałaziński i jego Murdas.

Czołem biję przed braćmi w Ś-tym Hubercie, a powitanie oddawszy, wytłómaczyć się muszę, jakim sposobem i po co znajdują mnie w tem oto miejscu... Dziw ten—bo do fenomenów zaiste należy, aby nasz brat myśliwy piórkiem się zabawiał—owóż dziw ten stał się za sprawą Redaktora *Gazety Warszawskiej* i *Korespondenta Rolniczego.* Osaczył mnie jak dzika, do muru przyparł i oto rad nie rad muszę wypisywać felietony myśliwskie, gwoli rozrywce i pożytkowi braci w S-tym Hubercie. W formie zajmującej mam podawać wiadomości o wszystkiem, co myśliwych interesować a ogół czytelników zająć może. Jak się z tem uporam—nie wiem, słowa cofać nie mogę, bo się rzekło. Czytajcie i wyrokujcie, byle względnie. To rzekłszy, odwodzę kurek, wołam: „baczność!“ i... zaczynam.

Zawsze faworami otaczałem szaraka, zwłaszcza gdy szedł prosto pod lufę, lub gdy go oglądałem na półmisku, pławiącego się w śmietanowej przyprawie i suto naszpikowanego słoniną; ale odkąd przekonałem się o jego zdolnościach lekarskich, jestem dla niego z respektem uniżonego sługi. Dawne przysłowie mówi:

Za doktorów się ludzi udaje nie miara:
Prostak, żyd, kuglarz, balwierz, nawet baba stara.

Nie myślcie jednak, iżbym zamierzał was bawić kosztem kusego jegomości; owszem, przyznaję mu dyplom lekarski na zasadach słusznych. Osądźcie zresztą sami:

W końcu lutego nabawiłem się febry. Nie była to zwykła ograszka, lecz jakieś utrapienie nadzwyczajne. Napastowała mnie z początku co drugi dzień, następnie codziennie, w końcu zmieniła się na czwartaczkę. Używałem wszelkich środków, lecz bezskutecznie. Trzeba było jednak pozbyć się plagi za jakąbądź cenę, bo stawała się coraz groźniejszą; obrzmiałem na całem ciele i tak osłabłem, żem ledwie nogami powłóczył. Zrozpaczony, zacząłem próbować wszystkiego, co tylko kto poradził, a kiedy nie pomogło nawet zamawianie słynnego owczarza i odczynianie również słynnej kowalki, pomyślałem:

— No, mości Herburcie Trzasko, nie pozostaje waszeci nic innego jak trumnę zamówić, rachunki z życiem ukończyć i pożegnać się ze światem...

Zanim to uczyniłem, postanowiłem jeszcze chwycić się dwóch ostateczności: felczera z Kiernozi i starej Magdy, gospodyni jejmość pani siostry. Byli to, jak fama niosła „ludzie bardzo znające“, zapewniano mnie, że przez nich stanowczo wyleczonym zostanę. Pierwszeństwo dałem mistrzowi z Kiernozi, który leczył jakimś „sekretnym sposobem“. Przybywszy na konsultacyę, zamknął się ze mną w pokoju, kazał mi rękę do ramienia obnażyć, poczem wyjąwszy z kieszeni bandaże, lancet i ścisnąwszymi rękę powyżej łokcia, byłby mi kwartę krwi utoczył, gdybym go bez ceremonii za drzwi nie wyrzucił.

— Ta frybra pana na śmierć zatrzęsie!—wrzasnął oburzony, ja zaś rzekłem:

— Niech zatrzęsie, a krwi puszczać nie pozwolę. Asan widocznie lubisz czerninę, lecz ja twojemu apetytowi dogadzać nie pozwolę. Jeśli nie masz innego sposobu, pisuj na Berdyczew i fora ze dwora!

Odprawiwszy mistrza, wezwałem Magdę. Baba spreparowała mi pół kwarty jakiejś obrzydliwości, którą jednak wypiłem bardzo odważnie. Nie wiem, z jakich to *panaceum* składało się ingredyencyj, ale zapach miało fatalny, a po wypiciu, przez kilka godzin byłem odurzony. Skutek był taki, że paroksyzm febryczny znów się zjawił najpunktualniej w swoim czasie.

— Dyabłaś asani zjadła z taką mądrością!—mówię rozgniewany.—Strułaś mnie i nic więcej.

— Co też wielmożny pan wygaduje — tłómaczyła się Magda stropiona—przecież jakem tego samego zadała Walkowej, co to ją *wielga choroba* targała, to dopiero we dwie niedziele jej się zmarło...

— To niby znaczy, że i ja mam za dwa tygodnie przenieść się *ad patres?*

— Pacierz nikomu nie zaszkodzi—rzecze megiera, zrozumiawszy łacinę po swojemu.—Kiedy wielmożnemu panu to nie pomogło, chyba jedna *sympatyka* pomoże...

— Co to znowu za kaduk?

— Ano, sympatyka tak się robi: Trza się przespać na grochowinach, nazajutrz o świcie wypisać na opłatku: *akies, bakies, barakienis,* opłatek spalić, popiół w esencyi macierzankowej rozmieszać i wypić. Zaraz potem wziąć przylepkę chleba, woreczek mąki pytlowej, jajko surowe, *kuniecznie* od czarnej kury i srebrnego talara; to wszystko zanieść na granicę i tam zakopać.

— I to ma pomódz?—zapytałem powątpiewająco.

— Nieomylnie odparła z przekonaniem baba. — Choćby charakternik *frybrę* zadał, zginie.

Ha, cóż robić? Huź Piper na wodę! Samochcąc usiadłem na wózku domorosłego mędrca, trzeba jego piosnką śpiewać. Zastosowałem się do poleceń Magdy najściślej i nazajutrz o świcie podążyłem ku granicy z przylepką, mąką, jajkiem od czarnej kury i talarem w kieszeni.

Działo się to w sierpniu—tyle czasu febra mnie dręczyła, ranek był idealnie pogodny, a droga ku granicy prowadziła przez miejscowość, która „aż pachła“ zającem. Już doszedłem do lasku i wtedy dopiero spostrzegłem, że poczciwa śpiewka, charcica, i dwoje jej potomków, właśnie w pierwsze pole wstępujących, towarzyszą mi niewołani. Uczułem się jakoś rzeźwiejszym, chociaż febra zaczęła właśnie przygrywać mi na kościach, zapowiadając, że po tej uwerturze zwykły paroksyzm nastąpi. Wtem najniespodziewaniej, tuż z pod nóg moich pomyka, szarak...

— Hajże go!—wrzasnąłem na psy i zapomniawszy nietylko o febrze, ale i o całym świecie, popędziłem co tchu za niemi.

Zkąd się u mnie, opuchłego, wynędzniałego, nabrało tyle siły, nie wiem, ale zaręczam swem słowem myśliwskiem, że parłem wcale doskonale przez co najmniej pół godziny, dopóki przy krzach jałowcowych nie usłyszałem: „kniaź! kniaź!“ Szarak był, ma się rozumieć, wzięty, a ja zmęczony, lecz uradowany i jakby odrodzony, powiesiwszy zdobycz na pobliskim dębczaku, rozciągnąłem się, jak długi, na trawie i zasnąłem smacznie. Obudziłem się dopiero późnym wieczorem tak spocony, jak gdybym leżał w wodzie. Zarzuciłem szaraka na plecy i do domu. Tam spałaszowałem z apetytem, co Bóg dał i znów usnąłem. Co powiecie? Febra przepadła! Magda paplała na wszystkie strony, jaka to ona mądra, aż zniecierpliwiony, dowiodłem jej *sympatyką* nienaruszoną wcale, że nie ona, lecz poczciwy szarak tak radykalnie mnie wykurował i na nogi postawił.

Okrutnie się baba skrzywiła i zmartwiła. Mruczała długo i dopiero kilka dóz kieliszkowych cynamonówki uspokoiło ją i pocieszyło. Bo przyznacie sami, że nie mogłem w żaden żywy sposób ujmować tak wielkiej zasługi poczciwemu naszemu szarakowi. Co słuszne, to słuszne.

Nie zdziwicie się też, że doznawszy takiej łaski od szaraka, wielcem się oburzył będąc świadkiem następującego zdarzenia:

Taż sama Magda, w kilka tygodni po mojem wyzdrowieniu, skarży się przede mną z wielkim lamentem, że lisy uwzięły się na jej kurnik i kradną ptactwo niemal w oczach. Uspokoiłem babinę zapewnieniem, że postaram się ukarać sprawców grabieży i wytropiwszy jamę lisią, usiadłem przy niej pewnego wieczoru, z nabitą dwururką. Zachowałem wszelką ostrożność: umieściłem się z wiatrem i w dobrem ukryciu—za gęstym krzakiem leszczyny.

Czekałem dość długo, nareszcie z jamy wysunął się zwolna, rozglądając na wszystkie strony i uszkami strzygąc, młody lisiak a za nim drugi i trzeci. Nie spostrzegłszy nic dla siebie groźnego, zaczęły szczekać, skamlać, warczeć na siebie, jak młode psiaki, potem chwytały się za nogi, przewracały, goniły dokoła jamy. Naraz wiatr strącił z gałęzi drzewa dużego żuka. Lisiaki dalej do niego—nuż się nim bawić, podrzucać w górę, przytem jeden drugiemu chciał tę zdobycz odebrać. Najzręczniejszy zwyciężył—połknął żuka odrazu a ja już gotów byłem sądzić, że lisy żywią swoje młode owadami.

Zawiodłem się, niestety, bo oto po chwili, z gąszczu, wysunął się stary lis, niosąc na wieczerzę lisiakom—młodego i żywego zajączka. Już brałem na cel starego rozbójnika, gdy coś mu szepnęło do ucha:—Poczekaj!—Lisiaki, zadarłszy kity, przybiegły w podskokach do starego, który, rozejrzawszy się dokoła, położył zajączka przed jamą, zasiadł przed nim na tylnych łapach i suwał kitą z zadowoleniem po ziemi, patrząc jak dziatwa bawiła się nieszczęśliwym zajączkiem, szczekając na niego, tulając po ziemi i łapami szarpiąc. Biedny szarak usiłował kilka razy uciec, lecz stary Mykita nie pozwolił. Po, mniej więcej, kwadransie, takiego znęcania się, stary odepchnął od zajączka młode i podczas gdy one naprzeciwko niego zasiadły na tylnych łapach, on przycisnął przedniemi łapami zdobycz do ziemi i chwycił mordą za szyję. Wtedy strzeliłem—owocem zaś mojej celności był stary lis i dwa młode. Trzeci schronił się do jamy nietknięty czy też postrzelony, bo tego zrazu napewno nie wiedziałem. Wykombinowawszy, że ów zbieg musi przecież wyjść i chcąc się przekonać, co się z resztą rodziny stało, zabite lisy przyciągnąłem do siebie i znów czekam. Jakoż zbieg wychylił się z jamy, jednocześnie z zarośli ukazał się drugi stary lis, niosąc coś w pysku. Młody podbiegł do niego a ja mając ich pod lufą—palnąłem tak szczęśliwie, żem obydwie sztuki położył. Przekonałem się z bolem serca, że ów drugi Mykita przyniósł na wieczerzę lisiętom łopatkę młodziutkiego, niedawno urodzonego sarnięcia. Mając przed oczyma dowody tak straszliwego szkodnictwa, trząsłem się niemal ze zgrozy. Ileż ta para starych rozbójników musiała już przetrzebić zwierzyny pożytecznej, jeżeli jednego dnia aż dwie sztuki zgładziła, ażeby nakarmić troje młodych!

Nie powiedziałem nic nowego, lecz pragnąłem przedstawić tym, których to obchodzi, jak wielkie i nieobliczone szkody lisy wyrządzają w chowie zwierzyny pożytecznej; także pragnąłem zachęcić kolegów do prowadzenia zaciętej wojny z tymi szkodnikami, gdyż lis, mojem zdaniem, przez całe lato żywi się i karmi młode zwierzyną pożyteczną, nie licząc naturalnie ptaków i jaj. Ileż można znaleźć w polu zepsutych przez lisy gniazd przepiórczych i kuropatwich a po łąkach gniazd kszyków, kaczek i chruscieli... Ile słowików, raszek, podkamionek, kosów, pokrzywek, drozdów i innych ptaków, gnieżdżących się na ziemi lub nizko w krzakach, pada corocznie ofiarą drapieżności lisa...

Lis tylko w późnej jesieni i zimie żywi się myszami; w lecie mysz mu cuchnie, bo ma smaczniejsze kąski.

Jest on zapamiętałym wrogiem chowu zwierzyny, więc nie zasługuje na litość. Niektórzy hodowcy utrzymują, że gdy mu rzucać pod dostatkiem padlinę, wtedy szkody nie robi. Zdanie stanowczo mylne. Mykita to wybredniś pierwszej wody; do padliny weźmie się jedynie w braku lepszej karmy i to jeśli zmarznięta i przykrego nie wydaje zapachu.

Każdy ma swego móla—mają go także osadnicy australijscy pod postacią—królików. Stworzenie to, z powodu swej mnożności, stało się dla piątej części świata klęską w rozmiarach trudnych do uwierzenia. Po raz pierwszy z Europy do Australii dostały się króliki w r. 1786, kiedy zaczęto tam osiedlać skazanych na deportacyę zbrodniarzy angielskich. Przywieziono ich wszystkiego 5 sztuk, które wówczas nie utrzymały się i znikły bez śladu. W 120 lat potem przywiózł je z Francyi Austin—wtedy się zaaklimatyzowały. Z początku uważono je za zwierzynę pożyteczną i otoczono prawami ochronnemi, lecz już w r. 1874 tak się rozmnożyły, że pozwolono strzelać do nich w każdej porze, a w r. 1878 rząd był zmuszony zaliczyć je do zwierząt szkodliwych i za ich tępienie wyznaczyć nagrody. Nie pomogły owe nagrody (płacone za każdy skalp króliczy, t. j.—za skórę z głowy, ze słuchami), króliki rozmnażały się bajecznie szybko na całym obsarze, od granic Wiktoryi aż do Queenslandu, niszcząc roślinność i podminowując grunt norami. A właśnie w tej miejscowości kwitnie znakomita hodowla owiec.

Roślinność trzebią króliki w sposób straszliwy: naprzód spasają trawę i suche liście, potem korę z drzew i krzewów, wreszcie dobierają się do korzeni i niszczą całą roślinę tak doszczętnie, że nie ma mowy, aby odżyła. Dwa lata wystarczą, aby najbujniejsze pastwisko zmieniły na formalną pustynię.

Nawet w czasie głodu mnożą się w sposób przerażający. Samica kilka razy do roku rzuca 6 do 9 młodych—to ów potop króliczy wyjaśnia. Już w r. 1883 rząd australijski ustanowił specyalną dyrekcyą do prowadzenia wojny z królikami. W przeciągu 3 lat wydano 9 milionów marek, ażeby ochronić chów owiec w 265 osadach—lecz ani wydatek, ani podwyższenie nagród za skalpy królicze nie zmniejszyły klęski.

Króliki australijskie grzebią swoje nory nawet w gruntach ornych i tuż przy torach kolejowych. Po wsiach i miastach wiele trudności przedstawia przechowanie paszy dla koni i bydła, zawsze króliki do niej się dobiorą. Miasto Wilcamia, dwa lata temu, zostało formalnie napadnięte przez króliki: zniszczyły one ogrody, podkopywały się pod domy a kupcy musieli przy pomocy psów i ludzi bronić swoje towary przed ich żarłocznością. Burmistrz utworzył specyalny oddział służby, która trupy królicze zbierała z ulic i wywiózłszy za miasto, paliła. W Cobar na pewien czas musiano zamknąć kościół, bo króliki, dostawszy się pod podłogę, pozdychały i zatruły powietrze straszliwemi wyziewami.

Ponieważ proch i pułapki w walce z królikami okazały się bezsilnemi, zwrócono się do urządzania kosztownych płotów drucianych. Kilometr takiego płotu kosztuje do 800 marek, a mimo to, na południu Nowej Walii postawiono już przeszło 700 kilometrów tej ochrony. Ale za to króliki giną przy płotach całemi masami.

Także używają, w celu pozbycia się królików, zatruwania wód, zwłaszcza w czasie posuchy. Przy cysternach zatrutych w ciągu jednej nocy ginie po 10,000 królików. Oprócz tego tresują do tępienia tych gryzoniów psy, koty i łasice. Ostatnich przed 9 laty sprowadzono do Australii 20,000 sztuk. Zdaje się jednak, że cios stanowczy zada krolikom bakteryologia. Uczeni, poświęcający się tej specyalności, pracują nad wynalezieniem zarazka, który po zaszczepieniu jednej sztuce, będzie się całym stadom udzielał. Kiedy o klęsce Australijczyków opowiadałem Bałazińskiemu, który mnie z nieodłącznym swoim Murdasem przed kilkoma dniami odwiedził, usłyszałem odpowiedź:

— Głupcy oni, ci *strzelcycy* i kwita... Gdybym, na ten przykład mówiący, ją z Murdasem się tam znalazł, to oho!

I nosem czmychnął stary wyga, skrzywiwszy się przytem pogardliwie.

Trzeba wiedzieć, że ów Bałaziński, leśnik z sąsiedniego majątku, należy do typów myśliwskich. Strzela, jak Tell; pije, jak Bachus, a łże, jak reporter. Murdas zaś jego to rudy, niepoczesny kundys, którego on za dziesiąty cud świata uważa... Dodam jeszcze, że Bałaziński jest wiecznie podchmielony, zaś Murdas wiecznie głodny. Jak się ta para porozumiewa ze sobą, trudno odgadnąć, ale faktem jest, że stanowi prawdziwą potęgę myśliwską.

— Więcbyś, mój Bałaziński—rozpytuję zaciekawiony—uwolnił Australijczyków od klęski?

— Jeszcze jak, wielmożny panie—odparł z pewnością siebie—Królik... Co to królik? Głupstwo! Dawało się radę w trudniejszych terminach. Albo Murdas... Czy wielmożny pan wie, jak się on spisał tego lata?

— Nie wiem, a chciałbym się dowiedzieć.

— Oto chodziłem po polu, żeby coś przynieść dziedzicowi swemu i właśnie byłem na ugorze pod lasem, którędy kolej przechodzi. Rozglądam się tędy, owędy... a tu maszyna świsnęła. Obudziło to szaraka, co spał gdzieś pod krzem, i sadzi, a mój Murdas za nim... Ani pytają, jeno sadzą prosto na pociąg. Ja obydwa palce tkam do gęby i świszczę, mało mi łeb nie pęknie, ale gdzie tam, Murdas leci, jak wściekły. Przybiegli do toru, kopyra hyc! na stopień wagonu. Murdas stanął, uszy podniósł, bo wie, że bez biletu wsiadać nie wolno, ale pasya myśliwska przemogła. Dalej na stopień za kopyrą i nuż się gonić dokoła pociągu aż do samej stacyi. Dopiero kiedy konduktor krzyknął:—Stacya!—Murdas myślał, że woła: Pif!—dał susa i zadusił kota...

— I przyniósł do domu?

— Przyniósł, ale nie zaraz. Nie chciał wracać towarowym pociągiem, bo wiedział, że taki długo się wlecze; więc zaczekał na kuryerski. Taki mądry pies.

Herburt Trzaska
ze Ślepkowa.

W SPRAWIE DROŻYZNY MIĘSA.

Z powodu pogłosek, iż obecnie podwyższenie ceny mięsa jest skutkiem „zmowy rzeźników", urząd starszych zgromadzenia rzeźniczego w Warszawie ogłosił wyjaśnienie następującej treści:

1) Co do *wołowiny*:

Od połowy maja do połowy lipca, rok rocznie, mięso drożeje w Warszawie dlatego, że drobniejsi gospodarze rolni naszego kraju, pozbywszy się na zimę trudnego do wykarmienia przychowku, z wiosną nietylko nie mają już nic do sprzedania, ale nadomiar sami starają się zaopatrzyć w odpowiednią do swoich środków i potrzeb gospodarstwa liczbą krów i wołów, świeżą trawą żywić się już mogących. Jednocześnie zaś gubernie Cesarstwa, stale zaopatrujące Warszawę w woły stepowe, wysyłają wtedy znacznie mniejsze partye, z powodu wyczerpania zapasu wołów stajennych, a niedostatecznego jeszcze wypasu sztuk, na stepach będących.

Niezależnie od tego, w powołanym okresie czasu, do Warszawy i jej okolic napływa z innych gubernii Królestwa bardzo znaczna liczba wojska, co o wiele zwiększa normę zwykłych zapotrzebowań mięsa, przy skąpszych właśnie w tym okresie czasu zapasach, powodując tem samem podrożenie produktu.

W roku bieżącym, oprócz tej normalnie się zjawiającej różnicy, zaszły jednak i okoliczności wyjątkowe, które też spowodowały wyjątkową podwyżkę ceny mięsa u nas.

Mianowicie Petersburg i Moskwa, miasta o wiele ludniejsze od Warszawy i o wiele też więcej spożywające mięsa, dotychczas zaopatrywały się w nie przeważnie z wołów na Syberyi hodowanych. Wszelako, z powodu wynikłego tam w r. 1897-ym nieurodzaju, a zwłaszcza braku paszy na stepach, dostawa bydła ztamtąd zeszła do minimum, tak dalece, że oba pomienione miasta musiały z zakupem wołów zwrócić się do tych samych gubernii południowych Cesarstwa, które dotychczas zasilały prawie wyłącznie tylko Warszawę. Wytworzył się przez to ogólny brak bydła, na rzeź przeznaczonego, i dlatego też, gdy w latach zwykłych Warszawa tylko w czasie Wielkiego postu wysyłała do Petersburga nieznaczne zapasy mięsa w ćwierciach, i to o tyle, o ile sprzyjała temu temperatura, to natomiast od początku ubiegłej zimy ekspedyowała tam około 600 ćwierci tygodniowo, a jednocześnie z pomienionych gubernii sama otrzymywała tygodniowo mniej około 300 wołów, zabieranych właśnie do Petersburga i Moskwy.

W Petersburgu w chwili obecnej cena mięsa dochodzi do rub. 6 za pud, a w Moskwie, na giełdzie mięsnej, w ubiegłym tygodniu notowano pud mięsa około rub. 5 kop. 50.

2) Co do *cielęciny*.

Podniesienie się jej cen zawsze towarzyszy drożyznie wołowiny i bynajmniej nie jest wynikiem żadnych wyjątkowych okoliczności, lecz jedynie tylko zwiększonych zapotrzebowań, gdyż zazwyczaj cielęcina bywa tańszą od mięsa wołowego, a cena jej obecnie wzrosła z powodu, że trzeba ją kupować zamiast wołowiny.

3) Co do *wieprzowiny*.

W ostatnich kilku latach, wskutek dobrych urodzajów i obfitej ogólnie paszy, zewsząd nadchodziły duże, nawet po nad potrzebę, partye trzody chlewnej, co spowodowało zniżkę jej ceny. Lecz ta właśnie nizka cena wywołała pośrednio obecną drożyznę; ogół bowiem drobniejszych zwłaszcza hodowców, nie mając prawie wcale zarobku na wykarmianiu wieprzy, zaprzestał zajmować się tą produkcyą, jako nieopłacająca się, i przez to wytworzył się nagle znów brak produktu, a w następstwie tego podrożenie ceny.

Nader ważnemi czynnikami w tej sprawie są jeszcze następujące okoliczności:

a) Rzeźnik nigdy nie odbiera partyi większej wprost od hodowcy lub od specyalnego handlarza, ale zawsze z drugiej lub z trzeciej ręki, a to wskutek nader szkodliwej działalności przekupniów, którzy ubiegają rzeźników w nabywaniu tego towaru, zakupując go bądź wprost z wagonów na stacyach na Pradze, bądź też nawet przed dojściem jeszcze transportu do Warszawy. Zanoszone z tego powodu, gdzie należy, słuszne skargi i zażalenia tutejszych rzeźników nie odniosły skutku i złe trwa dalej.

b) Brak odpowiednich urządzeń i udogodnień na Pradze spowodował, że odbywający się tam poprzednio główny handel wieprzy dla Prus przeniósł się do Sosnowca, dokąd też wszystek lepszy towar jest wprost kierowany, z pominięciem Warszawy, a to pod żadnym względem nie może wpływać dodatnio na interes tutejszych rzeźników i spożywców.

c) Według obowiązujących u nas przepisów kontroli weterynaryjnej, sztuki węgrowate trzody chlewnej, znalezione przy rewizyi w szlachtuzach, natychmiast są tam niszczone pod kotłami; z tego powodu rzeźnik, kupując wieprze na Pradze, ażeby się uchronić od dotkliwej straty, starannie ogląda każdą sztukę. Tymczasem handlarze i przekupnie dla m. Łodzi, jak również i tamtejsi rzeźnicy, zakupują wieprze całemi partyami bez ich oglądania, wskutek czego są im one zawsze sprzedawane o kopiejkę taniej na funcie, aniżeli rzeźnikom warszawskim.

Z tego, co wyżej powiedziano, wynika, że drożyzna wszelkiego wogóle mięsa u nas, oprócz przyczyn naturalnych lub siłą wyższą spowodowanych (nieurodzaje, choroby, pomór i t. p.), ma też w znacznej mierze źródło w wielu nieprawidłowościach handlu bydłem i trzodą chlewną, nietylko w samej Warszawie, ale i w ważniejszych punktach transportu i dostawy tychże praktykowanych. To zaś tak bardzo nurtujące i oddawna istniejące złe uchylonem być może jedynie tylko przez oczekiwaną od lat przeszło dwudziestu budowę rzeźni centralnej, takiegoż przy niej targowiska na bydło i wreszcie halli targowej.

LIST ZE WSI.

Z pod. Szydłowa, gub. Kieleckiej.

Hiszpańsko-amerykańscy Kuba i Filipina naszym polskim Kubie i Filipinie napędzili trochę grosza do kieszeni, gdyż zwykle włościanin nasz sprzedaje swą nadprodukcyę rolną albo zaraz po żniwach albo też późno na wiosnę; to też obecnie brali oni po 6 rub. 30 kop. za żyto i 1 rub. 60 kop. za korzec kartofli.

Nie może się tem pochwalić większa własność najbardziej z posiadaczy ziemskich odczuwająca przesilenie rolne. Przesilenie to daje żywy dowód na szosie łączącej Kielce ze Staszowem, gdyż na przestrzeni 60-u wiorst spotyka się tylko trzy pozostałe większe majątki: Gnojno Łuniewskich, Grabki Wysockich i hr. Kwileckich i Kurozwęki Popielów,—reszta rozparcelowana na drobne, kilkomorgowe działki chłopskie lub kilkodziesięcio morgowe z dworami, zatrzymane przez dawnych dziedziców lub pachciarzy. Prawie znikły piękne lasy i łany jednolitych zbóż, a miejsce ich zastąpiła zagonowa mozajka.

Pomimo jednak gęstego zaludnienia, o robotnika rolnego dosyć trudno, gdyż co młode i silne emigruje do Warszawy, Dąbrowy i Łodzi, w pogoni za złotem runem, przyjemnościami miejskiemi, parasolem i zegarkiem, a co gorzej, za nowemi ideami, które tak mile serce łechcą. Ten brak młodego robotnika szczególnie podczas lata zniewala większe gospodarstwa do zaopatrywania się w żniwiarki, kosiarki i kopaczki, z czasem zmusi i do sprowadzania żołnierzy, gdyż nasz włościanin, dopóki sobie i swoim krewnym nie zbierze, do dworu na zarobek nie pójdzie, pomimo podwyższenia ceny.

Obecnie sianokos rozpoczęty, a prawdopodobnie w pierwszych dniach lipca już nowy chleb jeść będziemy. Czy będzie on drogi, któż przewidzieć zdoła, ale wątpię. bo urodzaj zapowiada się dobry; aby tylko nie sprawdziły się przepowiednie domorosłych Falbów, którzy rok ten jako „przekropny" zapowiedzieli.

Zresztą widmo głodu, w miarę posuwania się budowy drogi Syberyjskiej, maleje. Nasza produkcya zboża i tak nam nie wystarczała, ale niezadługo będzie ona zbyteczną. „Caveant consules"... trzeba nam zawczasu szukać nowych źródeł dochodu, ale jak to trudno przy naszym wrodzonym konserwatyzmie. Przytem w głowach nam mąci labirynt rad i recept: jedni są za wypuszczaniem gruntów w dzierżawę chłopom i pragną stworzyć nowy typ polskiego lorda bez izby panów i Indyj, ale ze stajnią wyścigową i polowaniem par force; drudzy radzą drapacz sukienniczy i miętę; trzeci ryby; inni znów opasy. A tych ostatnich rada byłaby tryumf święciła, gdyby tak każdy z nas mógł teraz był posłać choć jeden wagon opasów do Warszawy; bylibyście kontenci a my wdzięczni i dźwięczni. Lecz cóż, kiedyśmy jeszcze handlu bydłem nie postawili na stopie wymagań europejskich; może po węglu przyjdzie czas na mięso, a potem na bułki, a potem na ryby i zwierzynę!

We wrześniu będziemy w Kielcach mieli pierwszą wystawę rolniczą, która dotąd, wnosząc z licznych deklaracyj, ma wszelkie szanse powodzenia. Ta decentralizacya wystaw jest dla rolnictwa bardzo pożądanym objawem i trzeba mieć nadzieję, że z chwilą, gdy gubernialne towarzystwa rolnicze wezmą je pod swój szczególny protektorat i postarają się o pieniężną pomoc ze strony właściwej władzy, wystawy staną na wysokości swego celu i przeznaczenia. Coroczny taki obrachunek gospodarski wykaże każdemu: co jest wart, co ma, a co mieć powinien, da sposobność do nauczania i nauczenia się, do wspólnej pomocy i pracy nad utrzymaniem

ojczystego zagona. Komitety prowincyonalnych wystaw powinnyby nabywać po jednym okazie z inwentarza żywego i martwego i urządzać loterye, naznaczając umiarkowaną cenę za bilety. Taka loterya byłaby pożyteczną i przyjemną rozrywką.

Bohdan Łukocz.

Centralne laboratoryum chemiczne.

Dnia 16-go maja r. b. odbyło się zebranie reprezentantów fabryk cukru i rafineryj w Królestwie Polskiem, na którem jednomyślne uznanie obecnych zyskał przedstawiony przez delegacyę sekcyi cukrowniczej warszawskiego oddziału Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu wniosek założenia w Warszawie wspólnemi siłami fabryk cukru centralnego laboratoryum cukrowniczego i stacyi doświadczalnej.

Zadania tej instytucyi będą następujące:

a) Analizowanie wszelkich produktów w zakresie technologii cukru i uprawy buraków, na żądanie tych wyłącznie cukrowni Królestwa, które należą do grona założycieli, jak również i na żądanie osób postronnych.

b) Badanie i wyszukiwanie w produktach spożywczych wszelkich surogatów, używanych do zastąpienia cukru buraczanego.

c) Przedsiębranie prób i badań, zarówno technologicznych jak i fizyologicznych, a mających na celu rozszerzenie spożycia cukru we wszelkich jego postaciach.

d) Badanie wartości nowych pomysłów w zakresie fabrykacyi cukru i spożytkowywania odpadków, oraz w kontroli fabrykacyi.

e) Ekspertyza i udzielanie pomocy pracowniom chemicznym w cukrowniach i rafineryach Królestwa, sprawdzanie naczyń i przyrządów kontrolujących, przez te cukrownie nabywanych, oraz badanie wartości materyałów pomocniczych, do fabrykacyi cukru używanych.

f) Popularyzowanie wiadomości, mogących się przyczynić do ulepszenia fabrykacyi, obniżenia kosztów przerobu, uproszczenia kontroli, zbierania typów cukru i t. p.

Na utrzymanie laboratoryum i stacyi postanowiono składać w ciągu lat pięciu, począwszy od d. 1-go czerwca 1898 r. po 0,15 kopiejki od puda ogólnej produkcyi każdej cukrowni w okresie 1897/98 r. Celem pokrycia kosztów założenia, składka w roku pierwszym będzie podwójną, t. j. wyniesie 0,3 kopiejki od puda cukru.

Instytucją kierować będzie zarząd, złożony z jednego dyrektora zarządzającego i czterech członków, wybranych przez założycieli ze swego grona, ewentualnie z pomiędzy osób postępem wiedzy i rozwojem przemysłu cukrowniczego w kraju naszym się interesujących.

Na wyżej wspomnianem zebraniu przystąpiło do grona założycieli 27 cukrowni: Brześć Kujawski, Ciechanów, Cielce, Czersk, Elżbietów, Hermanów, Izabelin, Konstancya, Krasiniec, Leonów, Leśmierz, Lublin, Łanięta, Łyszkowice, Michałów, Mircze, Młodzieszyn, Młynów, Model, Oryszów, Ostrowy, Poturzyn, Sanniki, Sójki, Strzelce, Tomczyn i Walentynów.

W przekonaniu, iż inne cukrownie w kraju naszym zechcą również przystąpić do grona założycieli tej tak pożądanej dla naszego przemysłu instytucyi, zebranie postanowiło zwrócić się do tych fabryk, które nie były reprezentowane na zgromadzeniu, z prośbą o jak najśpieszniejsze zawiadomienie o decyzyi swej w tym przedmiocie prezesa komitetu giełdowego w Warszawie.

ROZMAITOŚCI.

— **Spekulant Leiter.** Z Chicago nadszedł ważny telegram, który zwiastuje upadek słynnego wodza syndykatu zbożowego, Leitera. W samem Chicago sprzedano na jego rachunek przeszło 10 mil. buszli pszenicy. Z tych i innych szczegółów okazuje się, że Leiter, który skupował pszenicę w olbrzymich ilościach, aby ją potem po wysokich cenach odprzedawać, znalazł się w tak rozpaczliwem położeniu, że musiał się pozbyć swych zapasów po cenach, przynoszących mu dotkliwe straty. Donoszą nadto, że Leiter, który miał zuchwały zamiar dyktowania światu głodowych cen pszenicy, co mu się też przez pewien czas udawało, żebrze teraz pomocy u własnego ojca, a ten mu pomocy odmówił. Tak więc, jak prawie zawsze, nienaturalna spekulacya znalazła smutny kres. Leiterowi długo wiodło się świetnie. Spekulant na zniżkę, Armour, który z początku przeciwko niemu operował, musiał w końcu ustąpić i przyłączyć się do niego. Wtedy zdawało się wodzowi syndykatu zwyżkowego, że opanował cały świat i nie znał już granic w swych szalonych operacyach. Gdy jednak okazało się, że tegoroczne zbiory będą pomyślne, pszenica coraz bardziej spadać zaczęła i nikt już nie oglądał się na ceny Leitera. W tej walce z naturalnemi warunkami musiał uledz i uległ. Pszenica, która w New-Yorku doszła była do maksymalnej ceny 170 c. za buszel, spadła teraz na przeciętny poziom 85 c., czyli obniżyła się około 100%. Łatwo zrozumieć, jakie straty Leiter ponosi.

— **Kompozycya do smarowania dachów z papy, wynalazku braci Joeks.** Znamy z doświadczenia strony ujemne smarowania papy zwyczajną smołą z węgli kamiennych. Latem topnieje smoła kamienna i ścieka z dachów, zimą pęka przy mrozie i pozostawia szpary. W pierwszym i drugim przypadku cierpią na tem bardzo dachy, a gdy nadejdzie pora słotna, zaciekają silnie, co połączone jest ze stratami i niedogodnościami, jak wilgocią i powstawaniem grzyba. W ostatnich latach wprowadzono w handel specyalny preparat t. z. „Klebemasse", który więcej odpowiada celowi, lecz jest stosunkowo bardzo drogi. Otóż wynaleziony przez braci Joeks w Sagard na wyspie Rugii tego rodzaju preparat jest według opinii wielu budowniczych prawdziwem dobrodziejstwem dla właścicieli domów z dachami papowemi. Masa braci Joeks, nałożona na swą podkładkę według specyalnego przepisu, nie zmienia swych chemicznych własności, łączy się ściśle z tekturą, drzewem, cynkiem, kamieniem lub cementem i ani nie topnieje w skutek gorąca, ani nie pęka w skutek mrozu, tak, iż dachy z papy dawać można jako pokrycie domów nawet w krajach południowych, co do tego czasu było niemożliwem. Preparat braci Joeks ma być bardzo tanim, co tem więcej zachęcić powinno do zrobienia próby.

— **Machiny i narzędzia rolnicze.** Telegraf przyniósł wiadomość o zamiarze zniesienia w bliskiej przyszłości opłat celnych od niektórych zagranicznych maszyn i narzędzi rolniczych, przy przewozie ich do Rosyi. Obecnie *Kijewlanin* komunikuje niektóre szczegóły, dotyczące powyższej kwestyi: Cło od lokomotyw przy młocarniach i pługach parowych ma być zniżone z 70 kop. w złocie na 50 od puda. Zupełnie zwolnione być mają od opłaty bil przywozowych: żniwiarko-wiązałki, grabie konne, żniwiarki z automatycznem zrzucaniem, pługi parowe, złożone młocarnie do koniczyny z dwoma cylindrami, sortowniki do nasion traw, do kartofli, przyrządy do rozrzucania nawozów proszkowanych, centryfugi do mleka i ich części, prasy winogronowe itd., oraz wszelkie nowe maszyny i narzędzia rolnicze, sprowadzane dla stacyj doświadczalnych i muzeów. Części zapasowe do wszystkich powyższych maszyn mają być również przepuszczane bez opłaty cła; do wszystkich zaś innych przywożonych z zagranicy maszyn i narzędzi rolniczych z opłatą 50 kop. w złocie od puda, zamiast rub. 1,40. Oprócz tego mają być wprowadzone znaczne ulgi przy opłacie cła przywożonego od wszelkiego rodzaju środków chemicznych i nawozów sztucznych, sprowadzanych dla celów rolniczych. Termin trwania wymienionych ulg celnych przedłużony ma być do r. 1903; termin zaś wprowadzenia ich w życie rozpocznie się dla wszelkiego rodzaju nawozów z chwilą ogłoszenia odpowiedniego prawa, a dla maszyn i narzędzi d. 13-go września 1898 r.

Zjazd młynarzy. Zjazd ma być otwarty w Moskwie, w miesiącu bieżącym Zajęcia zjazdu odbywać się będą pod przewodnictwem dyrektora departamentu handlu i rękodzieł, rz. r. st. Kowalewskiego, przy udziale zarządzającego oddziałem handlowym przy departamencie, r. st. Kasperowa. Kwestye, mające być przedmiotem rozpraw na zjeździe, rozdzielone zostały na cztery grupy: 1) co do wywozu mąki; 2) co do handlu wewnętrznego; 3) co do przewozu i 4) co do młynarstwa wogóle. Komisya handlowa Moskiewskiego Towarzystwa Rolniczego, z inicyatywy której zjazd zostaje zwołany, ma ze swej strony przedstawić do przedyskutowania na zjeździe szereg kwestyj, związanych z różnemi stronami handlu mąką i przemysłu młynarskiego.

Druk „Gazety Warszawskiej" (Rubieszewski i Wrotnowski) Nowy-Świat 34.—Дозволено Цензурою.—Варшава, 7 Іюня 1898 г.